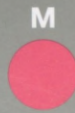


Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19

633
BIBLIOTECKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK XXII

LUDWIK ŁAKOMY

OBRAZKI Z POWSTAŃ GÓRNOŚLĄSKICH



In. 72.

AWA 1934
NAUKOWO-WYDAWNICZY

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Colour Chart #13

Inches

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

DANES
-PICTA
.COM

033
BIBLIOTECKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK XXII

LUDWIK ŁAKOMY

OBRAZKI Z POWSTAŃ GÓRNOŚLĄSKICH



In. 72.

AWA 1934
NAUKOWO-WYDAWNICZY

BIBLIOTECKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK XXII

LUDWIK ŁAKOMY

OBRAZKI Z POWSTAŃ
GÓRNOŚLĄSKICH



Eigentum
Heresarchio - Zweigstelle
Danzig

WARSZAWA 1934
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

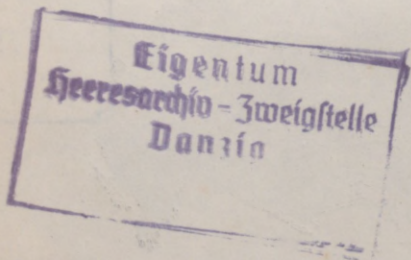
884-3 ; 8/09

677



PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

9710 / 1

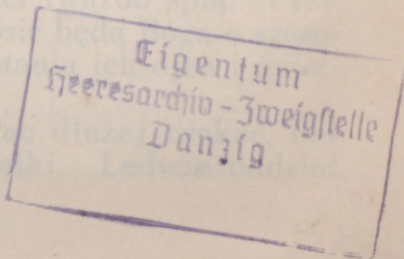


GŁÓWNA DRUKARNIA WOJSKOWA. WARSZAWA, PRZEJAZD 10.

Obrazki z powstań górnośląskich

SPIS RZECZY.

Obrazki z powstań górnośląskich	1
Honor powstańczy Alojza	33



STIS KREKTY

(Prace) z powstania ziemianin
Honor powstanczy /10/2x
Wojna 1914-1918 (1914-1918) 1914-1918

1914-1918

Eigenium
Eigentum - Eigentum
Eigentum
Eigentum - Eigentum
Eigentum

I.

Obrazki z powstań górnośląskich.

Druga kompanja pszczyńska niecierpliwie oczekiwała na wybuch miny w Gołkowie, co miało być sygnałem rozpoczęcia powstania. Lecz mijały minuty za minutami, niebo na wschodzie poczynano szarżyć, a zapowiedzianego hasła nie było słychać.

Komendant kompanji na 152 ludzi posiadał zaledwie 14 karabinów oraz 35 rewolwerów i z takimi siłami miał zdobyć Urbanowice i Paprocany. Ha, trudno...

Na małą chwilę komendant straceńczego oddziału przeniósł się myślą pod swą strzechę. Żona i dzieci twardo śpią. Przy rannym pacierzu prosić będą Boga o szczęśliwy powrót z powstania ich ojca i żywiciela...

Wreszcie, nie mogąc dłużej czekać, dał hasło rozpoczęcia walki. Ledwie oddział

wyszedł na ścieżkę, prowadzącą do Urbanowic, gdy nagle zaczęły ujadać karabiny maszynowe.

— Chłopcy! — krzyknął komendant — Sam Germany do nos pierą, my zaś tukej dziepiyro? Na nich! Niech żyje Polska!

— Niech żyje! — odwrzasnęli powstańcy i jeden przed drugim pędzą co sił ku widniejącym zdala budynkom. Grzechoczą karabiny, huczą ręczne granaty. Za chwilę powstańcy byli już we wsi. Oddział „grenszucu”¹⁾, chociaż kilkakrotnie silniejszy, nie mógł powstrzymać wściekłego impetu i po krótkiej, lecz krwawej walce wręcz (gdyż powstańcy z gołymi rękami skoczyli na ogłupiałych żołdaków, szczepiając się z nimi, jak niedźwiedzie) — Niemcy poczęli uchodzić w popłochu, zostawiając trupy i rannych oraz broń, i wiele materiału wojennego. Urbanowice były zajęte.

...Ruszyli rowem, prowadzącym do Paprocan, cicho, dech tamując w piersiach, jak wilki, podkradające się do owczarni. Czasem potknął się któryś, czasem karabin

¹⁾ Niemiecka formacja wojskowa.

błysnął w mroku, a oni podsuwali się coraz bliżej, aż wzięwszy się nieco w lewo, poczęli pełzać, bo już mury odwachu biegały w ciemnościach.

Wtem księżyc wypłynął z za chmur, i zrobiło się jaśniej, a w jego blasku powstańcy spostrzegli sylwetkę wartownika. Nim się spostrzegł, skoczył mu któryś na plecy, aż żołnierz, jak wór piasku, gruchnął o ziemię, a wraz noc cicha zmieniła się w sądny dzień. Rozgorzał bój. Powstańcy z zaciekłością rzucili się na armaty 32 pułku, zdobywając je w okamgnieniu. Chłopi, którzyby, zdawało się, nie dotrzymali pola wyćwiczonym żołdakom, rzucili się teraz w kilku na całe gromady. Obsługę dwóch maszynówek zadławiono. A napadniętych ogarnęło prawdziwe szaleństwo, tak, że w ciemnościach uderzali jedni na drugich.

Bitwa nie trwała już długo. Coraz częściej rozlegały się prośby o zmiłowanie. Niemcy poddawali się gromadnie; karabiny ciskając bezładnie na ziemię, zbili się w ciasną gromadę, z rękami podniesionymi do góry, prosili o ratunek.

Gdy księżyc wychynał powtórnie z za chmur, oświecił tłum rozbrojonego żołdactwa z jego dowódcą, kpt. Goese, na czele



..z rękami podniesionemi do góry...

oraz uzbrojonych całkowicie powstańców, wiozących za jeńcami cztery armaty polowe, dwa ciężkie karabiny maszynowe i kilkanaście wozów, naładowanych po brzegi amunicją i zapasami.

Tak to powstańcy zdobyli Paprocany.

W kościółku pszowskim kończy się wieczorne nabożeństwo. Przed cudownym

obrazem Matki Boskiej leży krzyżem gromada chłopów. Obejmują rękami posadzkę i całują ją z uniesieniem. Szary mrok, którego nie rozjaśnia wieczna lampka, ja-



W kościółku pszowskim kończyło się nabożeństwo.

rzająca się przed tabernakulum, pogrąża jakoby we śnie modlących się ludzi, napawa nadzieją, a zarazem śmiertelną obawą o bliski, lecz nieodgadniony los. Od obrazu Najświętszej Panienki Pszowskiej bije siła

niepokonana, otucha, a zarazem spokój i szczęście.

W ludzi wstąpiło jakby nowe życie i poczęło krążyć w ich żyłach wraz z krwią. Powstali razem i szli ku wyjściu tak dostojnie, iż rzekłbyś — rycerze z pod Studnicy, Grunwaldu — idą na bój. Na cmentarzu kościelnym pożegnali się z rodzinami, podjęli kosy osadzone na sztorc i drogą, wiodącą do Syryni, poszli... W Imię Boże! Obejrawszy się jeszcze raz, uśmiechnęli się do pozostałych i zgodnym chórem zanucili: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”

Z tem śpiewaniem szli coraz dalej, pomiędzy trawnikami łąk a szarym ugorem, pod ogromną złotą zorzą wieczorną, jak gdyby w wieczny blask, w wieczną jasność szli do wolności...

.....

Wreszcie napotkali wroga. Popluli w twarde garście, kosy krzepko ujęli, tak jak w lecie przy ścinaniu złotych zbóż i poczęli siec... Powstańcy z Pszowa, którym przewodziły duchy tych z pod Raławic i Maciejowic — Stachów Świstackich, Wojciechów Bartosów i tak jak oni — kładli się krwawym łanem na górnośląską ruń! Bijąc się, w świętość i moc rośli, ich po-

święcenie zdobywało wolność. O zachodowej, o przełotej zorzy bili się, dźwięk ich kos zlewał się z klaskaniem słowików i rósł, dając złudzenie, że to muzyczkowie rajscy tak grają Ojcu w niebiesiech.

* * *

Jęk straszny bił przeciw katom. Zwierzęce, nieludzkie zamordowanie doktora Mieleckiego wołało o pomstę do Boga. Niemiec jedną ręką godził w lud bezbronny, drugą zaś sypał złoto sprzedajnym macherom anglo-włoskim. Przeto jęku Górnego Śląska nie słyszał nikt w Europie.

Pod wpływem dochodzących wieści o cudzie nad Wisłą powstał Ślązak, twarz mu się ściagnęła, skurczyła złowrogo, do paszczy wilczej stała się podobna — i poszedł na nowy bój. Cóż tam z tego, że nowe ofiary darły ziemię w agonji. Cóż, że odsłoniły się czarne zgorzele ran, niezgojonych jeszcze po pierwszym powstaniu. Myśl ludu utkwiała na krwawym ćwieku krzywdy śmiertelnej i niepowetowanej: serce zastygło w lodową bryłę nienawiści twardej, zaciętej; dusza uczyniła się zapiekła jak zła rana, milcząca i sroga jak nieszczęście. To też w rozpaczliwej samoobronie ruszyły się tłumy.

— Ty, chłopie, rzykej nie rzykej, knij nie knij, a dycki ¹⁾ Miymiec frechowny ²⁾, panoszy się więcej i więcej! — rzekł Hanys Kłosek do starszego brata, Wilyma.

— Bo trza bić pierońskich Germanów tam, kaj się ich ale złapi! — odpowiedział starszy i poszli obaj na drugie powstanie.

Wilym, dowódca oddziału szturmowego, uderzył na redutę myśłowicką — dom sypialny, gdzie zamknęła się „zycherka” ³⁾, rażąc ogniem karabinów maszynowych nacierających powstańców. Dwukrotnie szturmówka była bliska zajęcia reduty i podwakroć załoga niemiecka odpierała atakujących, zasypując ich gradem kul. Jeszcze raz porwał Wilym ludzi za sobą, gdy wtem „pizła” ci go kula germańska w czoło. Jak gromem rażony padł na ziemię, kopiąc ją w kurczu przedśmiertnym. Hanys spojrzał na brata, dwie łzy spłynęły mu po policzkach, zaklął siarczyście i, krzyknawszy na towarzyszy, powiodł ich do nowego szturmu. Niemcy, przestraszeni piorunową siłą natarcia, poddali się prawie bez walki.

¹⁾ Zawsze.

²⁾ Bezczelny.

³⁾ Niemieckie t. zw. oddziały bezpieczeństwa.

Bohaterowie myśłowickiej reduty za-
błyśli rycerską sławą, do której przywiódł
ich Wilym Kłosek. Dla nich to właśnie owo
wspomnienie będzie najcudniejszą pieśnią
i muzyką najśłodszą, która wieki, wieki
żyć będzie. Bo ta mężna śmierć Wilyma, to
jakby wielkie, jasne ognisko, którego
blask pada na wszystkich społeczeń-
stwach. Bo to jasne ognisko sławy jest samym
płomieniem górnośląskiego życia, ono to
zasłania sobą wszelką mękę i wszelką
ofiara.

.....

Już drugi dzień broniła się „zycherka”,
zamknięta w chorzowskiej „Stickstoffwer-
ke”¹⁾, skąd prażyła powstańców nieustan-
nym ogniem maszynówek. Stary wiarus,
Marcin Watoła, ze swoim synem, spicz-
kiem²⁾ jeszcze, co miał zaledwie 18 lat,
przypadli do toru kolejki koło Maciejko-
wic. Ze strzelnic fabryki grzmiało i łyskało
bez przerwy. Raz po raz zrywał się z ziemi
któryś z powstańców, przeżył, ręce do krwa-
wiącej rany przyciskał i, krzyknawszy
„o Jezu!” padał jak kłoda.

¹⁾ Obecnie: Państwowa Fabryka Związków Azotowych
w Chorzowie.

²⁾ Smarkaczem.

— Do ataku, chłopcy! — zakrzyknął Watoła i cała tyraljera rzuciła się naprzód, cisząc w budynki ręcznymi granatami.

Zakotłowało się... Zawarczały rozpaczliwie maszynówki, rzygnęły nową serją ołowiu, ale chrypliwe okrzyki, w których nie było nic ludzkiego, świadczyły, że tym razem Niemcy ugięli się pod wściekłym atakiem powstańców. Koło portjerni tłum, kłębowisko ciał... Tam spustoszenie szerzy Marcin Watoła. Kilka żadeł bagnetów zmierza ku jego piersi.

— Ojciec, bo was zabiją, ojciec!.. — rozległ się krzyk syna. — Przeca was uśmierca, ojciec!

Trzy strzały gruchnęły w ciżbę i trzy ciała osunęły się na ziemię. Marcin ani obejrzał się, tylko biegnie do fabryki, a za nim syn jego, co mu uratował życie przed chwilą.

— Nic wam ta, faterku, zdrowiście? — szepcze chłopak, gdy wtem nad głową jego otwarło się okno. Huk... Och! — wyrwało się z piersi Hanysa, ból straszny przeszył nawskroś, wierzch czaszki niby czerrep granatu odskoczył od głowy i bez jęku upadł synek Watoły.

Dwie łzy stanęły w kąciakach oczu ojca. Otarł je rękawem, podniósł pięść zaciśnię-



...I tak, pierony, nie wygracie!

tą do góry i z ust jego ni to jęk, ni ryk wyrwały się słowa:

— I tak, pierony, nie wygrocie! Chłopy, za mną!

* * *

Słońko odkryło z cieniów nocy szeroki widnokrąg.

Przed oczami powstańców ukazało się miasto czyste, białe i ciche. Po nocnym deszczu drżały migotliwie kropelki rosy.

A powstańcy szli. Długą kolumną. Szli wśród kwitnących łąnów zbóż, zanurzonych w morzu światła. Szli w spodziewany bój tak, jak się idzie na schadzkę z szesnastoletnią panienką: z przesadną pewnością siebie, skrytem gorączkowem wyczekiwaniem i z odrobiną wzruszenia.

Na skraju wielkiego łuku lasu zatrzymali się. Okopali się jako tako w twardej ziemi, powiązanej korzeniami. Za plecami z gęstwy wiał orzeźwiający chłód.

Paulek rozciągnął szeroko ramiona. Sycił się rozkoszą prężenia silnego ciała. Na wargach zakraśniał mu uśmiech, siwe oczy rozgorzały lubością:

— Ja, tożech jest terazki na powstaniu... — wyszeptał.

Zapatrzył się przed siebie. Za zielonemi płatami pól, przeciętymi linją niemieckich okopów i torem kolejowym, rozkładała się jak na dłoni wioska, otulona kępami drzew, świecąca w słońcu bielonemi ścianami domów, ozdobiona śpiczastym dachem wieży kościelnej.

Była cisza nieprzerywana niczem.

Na prawo i lewo od Paulka leżeli powstańcy, osłonięci świeżo usypanemi kopcami, czasem zwalonym pniem lub gałęzią leszczyny. Karlik, przyjaciel Paulka, leżący opodal, zcicha podśpiewywał:

*A w ogrodzie rośnie oset, malowane ziele,
U sąsiada szwarni chłopcy, niema ich tam wiele.
Nie tak wiele, jak bogaci, jak się wystawiają,
Garbaci i tyż świdranci, krzywe nogi mają.*

Z toru kolejowego, zakrytego ścianą lasu, zaszczeaka niemiecka pancierka. Kompanja zaczęła odpowiadać, mierząc w obsługę, wychylającą się z poza strzelnic. A Karlik ciągnął dalej:

*Leda jaki smarkacina fajfka w pysku tyrczy,
Galociska potargane, do karczmy się pryczy.
A kiej przyjdzie do gospody, ramionami rostrząso,
Dziouchy myślą, że to z pychy — a on wszy
[wytrząso.*

Aż nagle grzmotnęła artylerja. Pierwsze granaty padły na pole, wyrzucając kłęby białego dymu, zmieszane z marasem ziemi. Ludzie spoważnieli. Nawet Karlik ucichł. Paulek rozciągnął się pod krzakiem, z łokciami wgniecionemi wygodnie w krety-

wisko, i wodził oczami po niebie, jakby szukając śladów kul, żłobiących powietrze.

Z wieży kościelnej zagrzechotał karabin maszynowy. Jak psy, zwołujące się na wsi, odpowiedział mu zaraz drugi, trzeci. Niby podrażnione osy zasyczały złe kule. Paulkowi zrobiło się gorąco, zwłaszcza, że pan-cerka wstrzelała się już w powstańczą linję. Nagle jękło powietrze, jakby cięte olbrzymią kosą. Szalony pęd przelatującego pocisku przygiął ludzi do ziemi, z wyciem przeraźliwem ściał jakieś drzewa i zdechł w piekielnym akordzie.

— Praa, Karlik? Fajnie było... — odezwał się Paulek.

Karlik, niewyraźnie uśmiechnięty, wyciągnął z kapsy flachę gorzały i, podając ją koledze, rzekł:

— Na, tóż napij się, chłopku. Ukrodech to wczora kómpanijnemu.

Paulek już miał przechylić flaszkę, gdy wtem znieruchomiał. Z wysiłkiem czołgał się do nich ranny dowódca. Głowę miał owiazaną szmatami, przesiąknięmi krwią. Wlaził do okopu i zdumiał się:

— Maryjo święto! A skądże się tu wzięła moja gorzola? Karlik! — wrzasnął. — Tyś

mi ją ukrod, pieroński giździe ¹⁾ djosecki!

— Jo, panie kómpanijny... — przyznał się skruszony Karlik.

Dowódca uśmiechnął się, patrzył na każdego z osobna, mierzył wzrokiem, badał, kaszlał przytem i chrząkał, obliczał coś i rozmyślał. Wreszcie rzekł sucho:

— Paulek! Musisz rozbić ta pancerka.

Długa jak wieczność chwila. Powstańca coś targnęło w piersiach. Na chwileczkę tylko. Ucichło. Znowu obleciał strach. Zerwał się, wymuskulił przed dowódcą i twardo wypowiedział:

— Rozkaz, panie kómpanijny!

— A kiej cie trefią, to żebyś potym nie padoł, ślimoku — bezdźwięcznie dokończył dowódca.

— Ni, panie kómpanijny!

— A z tobą, Karlik, późni sie porachuja... — rzekł i poczołgał się dalej.

No! Paulek wie, że jeśli pieron, lebo insza kula w niego nie trafi, to nie zapomni tego do końca życia. Zresztą na wojnie kula tak prędko nie trafia. Nie lękał się niczego. Ten strach, co był przedtem, odleciał. Skrzepił się myślą, że choćby nawet cały pułk wybito do nogi, to on zostanie.

¹⁾ Obelga; znaczy tyle co „dziad, łachmaniarz“.



Już układał sobie opowiadania: jak to było i co przeszedł. Jak już Śląsk będzie przy Polsce, to Paulek przyjdzie z kopalni, przewlecze się w czyste łachy, w czas cichy i ciepły wyjdzie se na pogawędkę i zacznie rozprawiać. Jej! Jak się też to ludzie będą dziwować!! A najwięcej Paulkowa Mila... A on będzie snuł godkę za godką, niby paciorki różańca, odmawianego w kościele.

— Słuchajcie jeny, kamrat, -- powie nadgórnik Szramek do mistrza hutniczego Grzyba — jak tyż tyn Paulek od Hajna pięknie rozpowio...

— Ja, ja... — przytaknie Grzyb i pociągnie kłab dymu z fajki.

Paulek nie nie skłamię. Nawet i to powie, że nieraz go strach obleciał w pustem polu, kiedy kule gwizdały ze wszystkich stron naraz. To też wiał, aż się kurzyło. A Mila będzie tylko słuchać.

Wspomnienie Mili było zawsze dla niego urodą niedzielnego dnia, kiedy to człowiek może se odpocząć po trudzie całotygodniowej pracy.

— Piękno jest moja Mila — szepnął do siebie — toć jej tyż przaja...

Rozmyślania Paulka spłoszył Karlik.

— No, chłopie, — rzekł — zdo mi się, kiejbym już było po tobie. Dej zarozki farorzowi¹⁾ na msza święto. Za twoja dusza, wiesz? Kiej chcesz, to dej mi talara, a zania mu po powstaniu — dorzucił.

— Ja, fanzolu²⁾ głupi, — zaśmiał się Paulek niefrasobliwie — cobyś talara przepił kajś w destyli³⁾. Nie starej się o mnie...

Za chwilę pluton powstańczy z Paulkiem na czele czołgał się ostrożnie do toru. Pod ich ciałami ugiwała się miękko wilgotna ziemia.

Aż dopełzli. Zaczęli rozkręcać szyny. Żołnierskie skupienie zastąpiło wnet pierwsze uczucie niepewności na otwartym polu. Paulek, przeżegnawszy się nieznacznie, ujął w ręce dwa pęki granatów i zaczął posuwać się wzdłuż toru.

Nagle gruchnęły dwie bliskie salwy. Gwizdnęły kule, wznosząc na nasypie dymki kurzu. Zaskoczony Paulek nie wiedział, co czynić. Ale wprędce się opamiętał i — już nie bacząc na nic — pognął do pancerki. Zbliżywszy się, wzrokiem przeliczył granaty i spokojnie, z uśmiechem w białych zębach, czekał sposobnej chwili,

¹⁾ Księdzu.

²⁾ Pleciugo.

³⁾ Karczmie.

Eigentum
Heeresarchiv - Zwettl
Donau

A gdy pancerka podjechała bliżej, zerwał się na równe nogi, odbezpieczył — sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa!... — gdy wtem szarpnęło go coś za ramię. Jakby go kto kijem zdzielił. Mimo bólu cisnął pęk granatów. Olbrzymi huk rozdarł powietrze. Świat cały wali się na głowę... Teraz uciekać, uciekać!

Gdy Paulek obejrzał się po chwili, z pozarzedniejącego kłębu dymu ujrzał zwałoną z toru pancerkę, z której wnętrza leciał potępińczy wrzask.

Jak burza zahuczały z linii niemieckiej karabiny maszynowe, złowrogim basem przywłórzyły armaty. Paulek ucieka. Jest w połowie drogi, na szczerem polu. W kępie drzew, rosnącej opodal, znika jego pluton. Byle tam się dostać, przynajmniej tam! Nowa salwa rzuciła powstańca o ziemię. Za chwilę poderwał się, niezgrabnemi susami odskoczył parę metrów, rozpląszczył się na trawie, znów powstał z trudem, mozolnie i, zlany zimnym potem, znów padł.

— Ooch! — wydarło się z piersi Paulka. Krzyknął jeszcze raz krótko, urwanie.

Z czoła lała mu się krew na włosy, na trawę. Z wysiłkiem rozpiął mundur. Na

szerokiej piersi widniały dwie czerwone plamy, na jednej linji, trochę naukos, z których za każdym oddechem tryskała krew. Karlik, drżący z wewnętrznej pasji, patrzył z linji na rannego Paulka, któremu nie można było pomóc, ogień niemiecki bowiem był tak straszny, że trudno było z okopu nosa wychylić. Zdawało się, że Paulek już przepadł. Wtem zadartł skrważoną głowę, wsparł się na ręce, dźwignął, poczołgał kawałek, i tracąc siły, począł wyć coraz ciszej:

— Jezus! Kamraci, ratujcie!...

Karlika ogarnęła złość.

— Pierońskie mamlasy! ¹⁾ — krzyknął. — Domy tu chłopu tak ostać?

— No to idź, kiej ci życie niemiłe — mruknął kolega.

— A cobyś wiedziol, głupi pampóniu ²⁾, że póda! — warknął Karlik.

Zaś Paulek, niebożatko, leżał se i rozmyślał. Już mu było wszystko jedno. Myślał se tylko o Mili, o swojej dziolszce. Ostanie sama, sierotka. Niechże ta. Coby tylko Germanów wygnać ze Śląska... Nasypie się jego ulubionej drobnych łezek i będzie je

¹⁾ Niedolegi.

²⁾ Pampón znaczy: bogaty, lecz głupi chłop.

ronić, niby piórka, co je ptaszkowie gubią, fruujący po gęstym lesie. Czuł przy sobie jej obecność i jakoś słodko robiło mu się na wnątrzu. Dobrze było Paulkowi, jakby go anieli żywcem do nieba wiedli. Uciszył się w sobie, nie wiedząc o niczem. Zdaje mu się, że leży obok swego dziewczątka. Patrzy bokiem na wdzięczne, drobne ciało. Wzrok jego oślizga się po drobnych kształtach jej piersi, unoszących się leciuchno za każdym oddechem, jak mgiełki nad stawem w cichą noc letnią. Oczy jego przesłania kształt różowawy, tętniący życiem, a serce wypełnia się radosną trwogą. Włosy dziewczątka muskają policzek. Odgarnia je i widzi głębiej odchylonej bluzki. Widzi małe, delikatne pąki dziewczęcych piersi. Więc chwyta ją w ramiona, przechyla ku sobie i całuje w wilgotne, miękkie, ciepłe usta. Ułapił ją mocno, splótł ramiona na jej plecach, a Mila zarzuciła mu kurczowo ręce na szyję...

— No, cóż ty mnie, mamlasie, tak boszkosz ¹⁾?

Ocucił się Paulek. Widzi, że jest w ramionach Karlika. Ów śmieje się do niego całą gębą.

¹⁾ Pieścisz,

— Ale mnie tyż przygarnął, — chichocze — nawet moja libsta¹⁾ tak nie potrafi... Opamiętał się Paulek. Czuje, że Karlik dźwiga go z wysiłkiem.

— Ostow mnie tukej — szepcze. — Jozech już psińco, uświerkna²⁾.

— Hale ta, bajdura!... — oburzył się Karlik. — Doczekaj, przykludza cie do lazaretu³⁾.

— Pón Bóczek ci tyż zapłać, kamrat, Pón Bóczek zapłać!... — i w omdleniu zwiśł bezwładnie w ramionach Karlika.

* * *

— Podziwom się na wos, panoczku, — odezwał się z przekąsem Karlik — że galoty⁴⁾ wom się od rozumu na zadku przetarły, a tak głupio fanzolicie⁵⁾.

Słowa te były zwrócone do lekarza, który opatrywał Paulka i prawił, że ów się już nie wyliże.

— Tóz posłuchają jeny—zaczął.—Kozdy nasz pieron to jest taki, że chociaby

¹⁾ Kochanka.

²⁾ Jestem już do niczego, zdechnę.

³⁾ Przyniosę cię do szpitala.

⁴⁾ Spodnie.

⁵⁾ Pleciecie,

na śmiertelnej pierzynie leżoł, to dycko wstanie, kiej Germana trza bić.

Pogładził Paulka po twarzy i ruszył ku wyjściu. W drzwiach jeszcze dodał:

— A kiejbyście go nie wykurówali, toć deście se pozór!

I pognał na pozycję. Ogień niemiecki przycichł. Ludzi bolały już wszystkie kości. Wychylali głowy, narażając się na kule, byleby trochę wyprostować zgięty kark i głębiej odetchnąć. Majowe popołudnie dłużyło się w nieskończoność. Karlik ułożył się w swej wnęce i zasnął. Ogień osłabł do tego stopnia, że można było wstać, przeciągnąć się, palić. Jakby na spacerze. W okopach zaczęto rozdawać chleb. Na każdego przypadło ćwierć bochenka.

Minęła długa godzina.

Z prawego skrzydła podawano pytanie. Biegło przez linję poprzez zabitych i rannych: naprzód czy wtył? Naprzód lub wtył — byleby tu nie siedzieć, byleby wiedzieć coś nareszcie! Aż nagle roztrzepotała się pozycja niemiecka, zakrztusiła i pluła ogniem. Pod drzewami szosy pogorzelskiej biegł oddział granatowych i zielonych Niemców. Za nim czerniało nieprzebrane mrowie, wylewające się z dworca kędzierzyńskiego.

Rozkładała się bitwa, oddziały powstańcze ziały z wszystkich łuf, jak opętane. Granaty waliły w las, w pole, a za nimi unosiła się gruba, czarna warstwa kurzawy. Zwinął się wąż niemiecki pod celnym ogniem powstańców. Pierzchł do miasta. Gdzieś w wiosce buchnęły płomienie. Wiatr przypędzał odór spalenizny.

Karlik pogmerał we włosach, naładował nowy magazyn i rzekł:

— No, teraz to już naprowdy pódziemy naprzód. Zdobydziemy Kędzierzyn!

Sierżant, zastępujący dowódcę, zaperzył się:

— Czegóż sie cieszysz, mamlasie, kiej głupie cielę? Bandziesz tukej gryzł druty, a my bez ciebie trefimy...

— O, co to, to ni, bobych sie som tukej usroł — przygadywał ironicznie Karlik. Wycelowawszy, nacisnął spust i wyrzucił łuskę z karabina. Nieprzyjaciel znikł. Bój uciął.

Dopiero po zachodzie słońca przyniósł wiatr dalekie pomruki armat. Nakazano ostrożne posuwanie się. W tej chwili rozwścieklił się taki ogień, że czołganie się było wprost niemożliwe. Powstańcy próbowali podsunąć się pod graniczne domy.

Posypały się kule, mimo że księżyc nie wzeszedł i wydawało się, że w ciemności są niewidoczni. Odpowiedzieli, ostrzeliwując naoslep ulicę. Przyczołgali się jeszcze



...z zamachem trzasnęli granatami w najbliższy dom.

bliżej. Osłonięci napół zwalonym murem, przygotowywali granaty. Inni ponasadzali bagnety. Roztopiał wszystko tajemniczy mrok. Niebo czerniało groźne, głębokie, gdzie niegdzie zamazane buremi chmurami. Karlik i kilku kolegów runęli naprzód,

z zamachem trzasnęli granatami w najbliższy dom. Jęk, huk i słup ziemi, cegieł, pierza, Bóg wie jeszcze czego, buchnął do góry. Okropne przerażenie runęło na Karlika, bo oto przy „padnij” znalazł się w otwartych ramionach zabitego Niemca. Z pod przechylonego nabakier zielonego kaszketu patrzyły szklane, niewidzące oczy. Wydarł się ze wstrętem z objęć trupa i czekał. W pewnej chwili wynurzył się z mroku ksiądz Woźniak, skupiony, uważny, ściskając w rękach karabin. Syknął: „Naprzód!”

Oddział powstał i powoli, jeden obok drugiego, nie tracąc się z oczu, zaczął posuwać się skokami. Jeszcze chwila — i byli na rynku. Rozbiegli się pod ściany. Ciemniej tu było niż w polu. Strzały odbijały się głucho, jak w kotle. Czekali przez chwilę bezradni, nie wiedząc, z kim się bić lub co zdobywać. Ksiądz Woźniak krzyknął:

— Uwaga!

Zabłystry w kilku miejscach wybuchające granaty. Zatrzęsło się wszystko. Naprzód! Rzucili się w noc. Co parę kroków zapalały się granaty jak błyskawice. Zaludniło się miasto skurczonymi postaciami,

goniącemi za ostrzem bagnetów, w których poczynął iskrzyć się pożar. Drżały domy od następujących po sobie wybuchów: wybite bramy huczały jak głośnieki. A powstańcy biegli nieustannie naprzód, osypiani miałem walących się gzymsów, ogłuszeni, wpatrzeni uważnie w ciemności. Aż buchnął pożar. Czerwone języki ognia lizały połyskujące dachy. Wszędzie brzmiały głosy dowódców: „Naprzód! Naprzód!”

Znagła Karlika ochynał strach. Coś go złapało za grdykę, mrowie obleciało po ciele, serce załomotało: po-zór, po-zór! Błyskawicznie obrócił się i ledwie zdążył paść na ziemię, gdy zimna stal bagnetu razem z przekleństwem mignęła mu nad głową. Zerwał się na równe nogi, opętany wściekłością złapał gardło Niemca, co po jego życie sięgał. Zacisnął drapieżne palce, dławił coraz mocniej, aż ciemń nocy rozdarł straszny, charkotliwy krzyk. Krzyk skowyczący, przerażony, coraz cichszy... Karlika zamroczył gniew, rozum mu odebrał, oczy coraz mocniej szarzały, szczęki zwarły się kurczowo, aż wreszcie z poza nich wypełzł ni to głos, ni skowyt:

— To ty, stomiljońsko marchó¹⁾), chcio-
leś mnie z zadku?!

Tamten zgarnął wszystek wysilek w mię-
śnie, podrzucił się do góry i ostremi zęb-
cami ułapił Karlika za ramię. Piekący,
okropny ból. Zdyszane oddechy huczą niby
miechy kowalskie. Wiotczeje ramię Kar-
lika. W oczach migają różnokolorowe ko-
liska... W pewnej miareczce czasu chłopak
się otrząsł, wściekłość zerwała się w nim,
niby zły pies z łańcucha i z całej siły kop-
nął końcem buta w podbrzusze wijącego
się ciała. Buchnął krótki, rozpaczny jęk:

— Christ!!!

I już po wszystkim. Już był koniec.
Palce Niemca darły ziemię w kurczu przed-
śmiertnym. Podniósł się wyczerpany do
ździebka Karlik, z ulgą odetchnął i jakaś
niewypowiedziana radość zalała mu utru-
dzoną pierś. Odczepił wiszącą u boku trupa
manierkę, odkorkował, powąchał z lubo-
ścią i za chwilę jego grdyka gulgotała
chciwie.

— Pierona kandego²⁾), ale tyż fajny ko-
niak!

¹⁾ Obelga.

²⁾ Okrzyk podziwu.

Zbliża się ludzki gwar, rośnie, potężnieje. Wtem z tłumu wydiera się krzyk kobiecy, niby metaliczny, śpiewny dźwięk dzwonu:

— Tóż wos nie wstyd, chłopcy? Dalej, naprzód!

Z ciemności wylania się sylwetka biało odziana, z przepaską Czerwonego Krzyża na ręce. Pierona! Czy Karlika oczy mylą?

— Dyć to przeca jest Paulkowa Mila...— szepcze.

W tej chwili otoczyły go groźne postacie.

— Ktoś jest? — warknęła ciemność.

Dziółszka postąpiła naprzód, przyjrzała mu się.

— Jezus! — plasnęła w ręce z uciechy. — To je Karlik od Małosza. A kaj to bydzie Paulek? — pytała wstydliwie.

— O, dziółcho! Paulek... — zawahał się z odpowiedzią. — Ostawiłech go w lazarycie... — dokończył głucho.

Mila patrzyła w niego zaleknionemi oczami. Wreszcie jęła łkać cicho, cichusieńko. Jak skrzywdzone dziecko. Aż znagła płomień przeleciał po jej licach, z niebieskich ocząt strzeliły pioruny gniewu i, porwawszy czyjś karabin, zawołała:

— Za mojego Paulka! Chłopv, naprzód! Za Górny Ślázek, za Paulka!



Za Górny Ślązek, za Paulka!

Odpowiedział jej krzyk stopieroński. Wiatr zagrał w uszach pobudkę bojową, ręce dygotały w okropnej żądzy zabijania, domy jeły uciekać w popłochu. Aż gdy do-

padli wroga z wyciem, z niehumanym hałasem, z jękiem chwytając oddech, rzucili się na niego. Nabrawszy rozpędu, toczyli się niepowstrzymanie jak lawina, druzgocąca całe lasy na zboczach gór. Prali nie-miłosiernie, naodlew, w milczeniu. Jaki taki Niemiec zrywał z ramienia białą-żółtą opaskę z czarną trupią głową i pięciu gwiazdami i uciekał z tego piekła, pragnąc ujść przed żądłem śmierci, zaczajonem w powstańczym bagnecie. Ale nanie, wszystko to było nanie. Niewiele czasu minęło, a Kędzierzyn był zajęty. Dostęp do portu kozielskiego z olbrzymimi zapasami żywności, materiału wojennego — był wolny.

Tak to Miła Paulkowa doprowadziła powstańców do zwycięstwa.

* * *

A Paulek leżał se, borok, w szpitalu. Coraz większe bóle nań przychodziły, coraz zimniejsze poty zlewały. Nie pozwalał się ogarniać cierpieniom, tłamsił je, zaciskał pięści, poduszkę kąsał i wierzył w to, że się wyliże. Aż objęła go gorączka, w której zapomniał o całym świecie. Wreszcie po jakimś czasie, może po tygodniu, może po dwóch, ocucił się. Wyczuł czyjaś obecność przy sobie. Serce załopotano ze wzruszenia.

Ciche westchnienie wypełzło z popękanych ust. Paulkowi się zdaje, że przeżywa jakąś niepojętą radość serca, co się na chwilę wszelkich smutków zbyło. O całym świecie zapomniał. Jest mu tak dobrze, tak ogromnie dobrze... No bo jakże! Pochylają się nad nim duże, modre oczy, jakby zbłękitniałe i pogłębione. Gęste rzęsy sieją cień na zwężone od bezsenności źrenice, na policzkach rozkwitają łagodne rumieńce. Paulek wyczuwa głaskanie malutkiej, malutenieczkiej dłoni, co go tak pieści, jakby grzejące słońko spływało mu na twarz świetlistą strugą. Ból poszedł sobie precz, nie czuje go. Z czyichś warg spływa szept:

— Paulek, Paulek, obejrzyj się. To jo, twoja Mila!...

Paulek podnosi głowę z wysiłkiem i widzi: jego dzioluszka, której przaje, opuściła rzęsy na oczy, palcami zawiązuje mu bandażę, a koło drobnych ust przebiegają lekkie skrzywienia, jakby przed nadchodzącym płaczem.

— No, dziolcho! Toć jo żyja i byda żył... Czamu sie ślimentosz? ¹⁾ — wyjąkał rozczulony, bo sam przez jedno mgnienie oka odczuł, jakby serce w nim zaszlochało.

¹⁾ Czemu płaczesz?

— Jakóż? — pytał. — Kędzierzyn zdobyty?

Mila zdusiła łkanie, rozrywające jej pierś, dotknęła go rzesami swych powiek i szepnęła przez łyzy:

— Zdo - by - - - ty...

— No to chwałaż tyż Pón Bóczkowi, chwała... — położył się spokojnie na poduszki. I wtedy stało mu się tak, jakby mu kto do gęby miodu lipcowego nalał. Słodko, słodziusieńko.

Znagła pociemniało. Hen, zdala ozwały się pomruki armat. Gdzieś od góry Świętej Anny roztrzepotały się wściekłym jazgotem maszynówki.

Paulek westchnął sobie głęboko, zmarzczył się i zasnął...

II.

Honor powstańczy Alojza.

Był sobie jeden Alojz. Chłopisko wyrosło ogromne, mocne jak koń, za dziólszkami biegnące po całych nocach.

Kiedy wybuchło trzecie powstanie, Alojz znalazł się w pułku Niemczyka. W końcu maja ujrzałem go na szosie opolskiej. Szedł cały pułk, a na czele pierwszej kompanji kroczył Alojz. Czapkę przesunął na tył głowy i garbił się pod plecakiem. Ozdobiony kwiatami, śmiał się całą gębą i wyglądał jak panna młoda z Piekar. A wydzierał się, jakby cały pułk chciał za-głuszyć:

*Poszła Karolinka do Gogolinka,
A Karliczek za nią,
Jak za młodą panią
Z fłaszczką i winką.*

*Wróć się, Karolinko, bo jadą goście!
A ja się nie wrócę,
Serca nie odsmucę,
Boch już na moście.*

Rozlażą się czwórki na całą szerokość drogi, z pod nóg wylatują kłęby białego kurzu. A powstaniec, idący za Alojzem, następuje mu przy każdym kroku na pięty, a fałszuje piosenkę tak straszliwie, że niech Bóg zachowa.

W Alojzie wezbrała złość. Łagodnym ruchem pchnął niefortunnego śpiewaka w bok tak, że ten w mgnieniu oka znalazł się w rowie. Za chwilę znów idzie i woła półgłosem:

— Alojz! Mosz cygarety?

— Pocałuj mnie gdzieś — odpowiada zapytany, ukazując kamratowi ztyłu miejscę poniżej pasa.

Po chwili podciągnął wiszące na brzuchu ładownice, pogmerał w nich i wyjął paczkę „rarytasów”. Zapalił papierosa, zaciągnął się i, widząc błagalne wejrzenia towarzyszy, poczęstował ich, mówiąc:

— Mosz, mamlasie, jedyn z drugim. Co byś później nie padół, że ci nie doł...

Nie było wypadku, żeby Alojz nie podzielił się papierosami, które ściągał swemu bratu, będącemu w pułku dowódcą bataljonu.

— Tyś, Alojz, jest fajny chłop, choć wyglądasz kiej trąba... — odezwał się z uznaniem jeden z kamratów. — Za tego cygaręta życza ci, żebyś poległ bohaterską śmiercią.

— Dziękują, ale ty przede mną, bo mnie się jeszcze nie śpieszy.

Plecak Alojza był zawsze wypakowany różnemi smakołykami. To też nie rozstawał się z nim nigdy. Koledzy pożądliwie patrzyli na dzwigane przez niego bogactwa.

— Alojz, a co zrobisz z plecakiem, jak cię zabiją? Możebyś mi go zapisał?

— Dobra! Zapisza ci moje obesr... spodnioki¹⁾.

Gruchnął śmiech, a skonfudowany rozmówca nie pisnął ani słowa.

Po pewnym czasie pytał się drugi:

— Alojz?

— Ihy?

— Gryzą cię wszy?

— A ciebie?

— Mnie gryzą.

— No tóż wiesz co, chłopie? Spuść galoty i siednij se w mrowisko, to zarozki przestaną gryźć...

¹⁾ Kalesony.

Niebezpiecznie było z Alojzem zadzierać. A jednak był taki, z którym Alojz awanturował się po całych dniach. Smykała się nazywał. Pochodził skądś z pod Pszczyny, a taka była bestja zjadliwa, że wszyscy ry czeli ze śmiechu, kiedy Alojz, doprowadzony do ostateczności, chwycił go za kark i posyłał potężnym kopniakiem gdzieś w rów. Smykała jednak umiał się zemścić. Dokuczał mu, że niech ręka boska broni.

Ileż to razy Alojz wzywał niebo na świadka niegodziwości Smykały. Na próżno!

Aż na początku czerwca przyszła druga ofensywa niemiecka.

Przed świtem 4 czerwca odcinek 3 pułku zaatakowała brygada bawarskiego „Oberlandu”. Z niemieckiej strony prała artylerja bez przerwy. Alojz rozgoryczony siedział w schronie z kilku kolegami. Poprzedniego wieczora Smykała posadził go, że ukradł babie koszulę. Tymczasem Alojz ją kupił, lecz nie można było tego sprawdzić, gdyż wieś zajęli Niemcy. Dowódca kompanji miał oddać Alojza pod sąd polowy. Nic nie pomogły jego tłumaczenia się i zaklęcia. W wojsku powstańczem za wykroczenia przeciwko ludności cywilnej nie

było żartów. Alojz pragnął za wszelką cenę dotrzeć do wsi, gdzie kupił koszulę. To też namawiał kolegów, aby, gdy przyjdzie rozkaz ataku, uderzyli na Lichynię.



Alojz siedział w schronie z kilku kolegami...

A Smykała w drugiej ziemiance śmiał się zjadliwie.

Wtem odezwał się gwizdek dowódcy. Powstańcy czem prędzej wypęzli na linję. Teraz dopiero rozszalała się kanonada działowa. Więc każdy chłop wtulił łeb w zie-

mię, skurczył pośladki ze strachu i czekał, aż nadejdzie rozkaz otwarcia ognia. Gdy zaś „Oberland” zbliżył się ku Sławęcicom, linja powstańcza ożyła. Złowrogo zaśmiały się maszynki, roztrajkotały niby baby, wymyślające sobie od „najduchów”. Oszala-



Alojz wyciągnął się na brzuchu...

miające przeciwnika paczki salw padały raz po raz. Alojz wyciągnął się na brzuchu, ułożył obok siebie kupkę naboí i strzelał z taką powagą i przejęciem, jakby od tego zależał cały los bitwy. Ani jednej myśli — tylko celować do znienawidzonego wroga i pociągnąć za spust... Nic więcej — tylko to. Tymczasem kule buczały jak osy. Krzy-

ki rannych rozlegały się tu i ówdzie. Obok Alojza ktoś krzyknął. Spojrzał: kolega leżał skurczony jak dziecko, z półotwartymi ustami, nieomkniętymi, przymgłonymi oczami i osmoloną twarzą. Pod pachą jaśniała żywą czerwienią wilgotna, rozszerzająca się plama. Z drugiej strony krótko, urwanie krzyknął inny. Czaszkę od czoła miał jak zmiażdżony kawał mięsa. Krew ciekła na policzki, nos i uszy, zalewała wywalone z bólu oczy i rozwarte usta. Ręce trzęsły się i wyłamywały palce.

A walka rozgorzała na całej linii. Przeciwnik był zaciekły. Jakże! Przecież odcinek Zalesia atakował pułk Garniera, złożony z pruskich oficerów i akademików. Alojza bolały już ręce od ciągłego repetowania. Nerwy trzymał na wodzy ostatkiem woli. Przyciskał się do miłosiernej ziemi i czekał na śmierć.

Wtem linja powstańcza ucichła. Brakło naboju. Zerwał się krzyk, zamieszanie, popłoch... Front załamał się. Biegli ludzie bez czapek, bez broni, biegli na całej linii. A bataljony bawarskie parły naprzód, chcąc jednym zamachem opanować Sławęcice. Alojz chce uciekać, krzyczeć; nie może się ruszyć, nie może głosu wydobyć.



..W zielonkawych mundurach pędzą naprzód.

— Jezus, Jezus! — dławi go krzyk, bo oto koło niego zrywa się z okopów zdemoralizowana, stłoczona bezbronna banda. Armaty oniemiały, palba karabinowa uci-
chła. A Niemcy tuż, tuż... W zielonkawych

mundurach, ciężkich, stalowych hełmach pędzą naprzód i naprzód. Ale Alojz już jest spokojny. Zamiast lęku zrodził się w nim jakiś ślepy upór.

— Ani kroku wtył, ani kroku... — powtarza w zapamiętaniu.

Wystrzelał już ostatnie naboje. Jeszcze pozostał mu bagnet. Alojz cały zalany potem, brudny, nieomal ślepy od dymu i kurzu, głuchy od przeraźliwych jęków umierających.

Wtem — przed jego oczami, po obu stronach szosy, baterja powstańcza odprzodkowała działa. Niemcy o kilkadziesiąt kroków... Wtedy rozpoczął się nieprzerwany huk. Huk straszliwy, uderzający raz wraz w czoło, w ciemię... Przy działach pracowali nie ludzie, lecz automaty bez nerwów. Pociski rwały gęste tyraljery tak skutecznie, że Niemcy zaczęli w panice uciekać.

Bohaterskie kurjerki przyniosły pod gradem kul amunicję dla powstańców. Nie wiele. — Dwadzieścia sztuk na głowę.

Wówczas Alojz ujrzał dowódcę. Rękę miał obwiązaną szmatami, z których ciekła krew. Coś krzyczał... Alojz domyślał się, że to rozkaz do przeciwuderzenia.

— Naprzód!

Garstka ludzi rzuciła się przed siebie. Powietrze przeraźliwie jęczy. Ziemia pryska w pysek... Bu, bu, buch! Ta, ta, ta, ta! — Kipiel hałasu, krzyków... Niemcy zawracają. A powstańcy biegną, biegną — coraz ich mniej. Skądś dolatuje rozdzierający jęk, drugi, trzeci... Biegący przed linią dowódca nagle runął, ugodzony w pierś.

Co teraz? Alojz przypadł do ziemi. Modli się. Wargi mu drżą. Ognisty żar przepływa przez żyły, obejmuje całe ciało. Trzęsą się ręce, wzbiera coś w piersiach, pazurami wtył ciągnie i krzyczy: uciekaj, uciekaj, bo zginiesz! Alojz widzi: dwaj powstańcy ciągną drogą karabin maszynowy. Nagle jeden padł. Zagdakały maszynki. Padł drugi opodal, o kilkanaście kroków od Alojza. Kto to? — Czy go wzrok nie myli? Smykała! Ten sam, który mu odebrał jego honor powstańczy, oskarżył o kradzież... Alojz wpatruje się ślepnącymi od potu oczami i spostrzega, że Smykała leży nieruchomy jak martwy.

— Tyż se wybroł miejsce... — myśli ze zgorzleniem. — Pewnie do galot nawalił i bez to nie może się ruszyć...

A tamten leży nawznak i cicho gapi się w niebo.

— Pódź sam, mamlasie!—krzyczy Alojz.
Tamten nic.

— Pódź, pieroński giździe! Dycki ci
błozny w łebie siedzą...

A tamten nic. Serce Alojza zaczyna bić
jak rozkołysany dzwon.

— Ranny, pewnie ranny...

Niemcy już niedaleko, dopadną ranne-
go, zamordują. Alojz zamierza się cofać.
Z głuchą mściwością szepcze przez zęby:

— Niech pierona za moja krzywda ze
skóry zeblyką!...

Nagle słyszy wyraźnie:

— Alojz, Alojz, kolega, ratuj!

Nie wiedząc, co się z nim dzieje, Alojz
czołga się naprzód. Widzi, jak Smykała za-
darł skrwawioną głowę, błaga zaszłemi
bielmem bólu oczami o ratunek. Z Alojzem
dzieje się coś dziwnego.

— Pón Bóczek cię skorol — szepcze nie-
nawistnie.

Twarz Smykały bieleje jak płótno. Aloj-
zowi latają błyski przed oczami. Gorąco
mu, boli obtarta do żywego mięsa noga,
a serce tak się tłucze, tłucze... Tamten
znów krzyknął. Rękami szarpie ziemię.
Krew go zalewa. Alojz szepcze:

— Zostawia cię!

A serce bije tak mocno: weź go, weź! Wynieś do tyłu!

— Ni! Ni! — zaciska Alojz zęby w głuchym uporze.

Smykała coś mówi. Z okrwawionych warg spływa szept:

— Alojz, przebocz mi! Skrzywdziłeś cię srogo. Przebocz... — Z wysiłkiem podnosi głowę i krzyczy: — Dyc uciekej, chłopie! Ostow mnie tukej! Miymce idą... Uciekej!

Nagle Alojz podnosi się, bierze na ręce ciężko rannego Smykałę i pędzi z nim wtył. W myśli błąka się jedyne pragnienie:

— Byle go uratować, byle wynieść za linję...

Ranny mamle przez zęby, szłocha. Alojz czuje, jak po jego odkrytej piersi płyną Smykałowe łzy. Tłumiąc wzruszenie, sy-
czy:

— Stul pysk, tulejo! ¹⁾).

Ogłuszył go huk ręcznego granatu. Pędzi. Zmęczenie zatyka mu oddech, nogi płaczą się w golgotowym iście trudzie. W skroniach mu tętni, przed oczami widzi tysięczne reflektory, pot się z niego leje. Znowu huk, łomot. Kule jęklawie gwizdzą koło

¹⁾ Ofermo.



...bierze na ręce rannego Smykałę...

uszu. Zapiekł się w zaciekłości i pędzi. Zbudowania Sławęcic już niedaleko. Byle tylko nie trafili Śmykały! Przemókł mundur od potu. Ranny tak cięży, tak okropnie cięży...

— Nojświętsza Maryjeczko! — modli się Alojz. — Pomóż mi donieść tego mamłasa do lazaretu. Prosza Cię! Kiej mi to uczynisz, a obiecują Ci, że zarozki po powsta-

niu póda piechty na pąc do Twojego cudownego obrazu w Piekarach... Nojświętsza Maryjeczko!

Prawie bezwładny ze zmęczenia położył się na chwilę. Ucichło trochę. Ranny jęczy:

— Pić! Pić!

W Alojzie wzbiera złość:

— Czego ci się zachciewo? A może ci dać szopa¹⁾ tychowskiego piwa? Leż ci cho! Zarozki bydymy w Sławęcicach.

Podnosi się. Dźwiga Smykałę na plecy. Biegnie już wolniej. Pola pachną aromatem świeżo upieczonego chleba. Kępy dzikich trześni otoczyły Alojza swym cieniستم chłodem. Otucha wstąpiła w serce. Już dostrzega kręcących się obok zabudowań powstańców. Odzywa się do rannego:

— Tóż dej se pozór, Smykała! Jak jeny wyjdiesz z lazaretu, to się wtedy z tobą porachują. Nie darują ci!

Wreszcie byli we wsi. Przed domem, na którym powiewała flaga Czerwonego Krzyża, złożył rannego i, nie troszcząc się więcej o niego, bez słowa oddalił się. Smykała pogonił za nim resztką głosu:

— Alojz! Bóg ci zapłaci! Tóż przebocz mi, chłopie, boch cię skrzywdził...

¹⁾ Kufel.

Alojz nawet nie odwrócił się, sadząc wielkimi krokami naprzód.

* * *

Gruchnęła salwa. Powstańcy podnieśli chmurne twarze, patrząc zapiekłymi z bólu oczami w las, szarzejący na widnokręgu.

— No jakóż, chłopcy! Idziecie ze mną? — zapytał Alojz.

— Co ci sie tak śpieszy? Cugu¹⁾ teraz nie mosz. Nikaj nie jedziesz.

— Wiesz co, Alojz! Jo ci powia. Przeston myśleć o zdobyciu Lichyni.

— Czamu?

— Czamu? Jakóż. Pójdymy to bez patronów? Jo nie ida! A zresztą kto nos poprowadzi?

— Jo! — rzekł twardo Alojz.

Powstańcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Alojz czuje, że niezłomne postanowienie ściska mu mózg jak kleszcze. Któryś kolega mówi:

— Jo nie ida!

— Nie godej, Paulek! Przeca wiesz, że kiejbyś nie poszoł, to przegralibychmy całkie powstanie. Nie godej... — napół żartem mówi Alojz.

¹⁾ Pociągu.

Nagle długi, przejmujący świst i huk, straszliwy wybuch kilkunastu ręcznych granatów. Ukazują się zielonkawe mundury.

I oto dzieje się cud. Alojz chwycił karabin za lufę, wywinał nim młyńca i skoczył z furją na nadbiegających Niemców. Rozdarł pysk i drze się:

— Hurra! Niech żyje Polska!

Ci, którzy przed chwilą kpili z Alojza, biegną teraz za nim z pochylonemi bagnietami, ze zgiętymi karkami. Zęby wgryzły się w wargi, zapadł się cały świat, zwarjowali wszyscy. Znikł strach, zamilkł człowiek, już niema nic — tylko to jedno jedyne pragnienie — naprzód!

Ruchoma ściana bagnietów wali przed siebie. Dłonie zakrzepły, rzekłbyś, skostniały na obsadzie karabina. Otwiera się pod nogami wyrwa. Potyka się ktoś, pada, broczy krwią. Nikt na to nie zwraca uwagi. Już niema nic dokoła, oprócz dźwięku tych słów, opętanych wściekłością, rozpieających duszę:

— Naprzód! Naprzód!

— Do Lichyni! — krzyczy Alojz.

— Do Lichyni! — odwrzaskują powstańcy.



...dopadł do bawarskiego oficera..

Tchu brak, w piersiach tłucze się oszalałe serce, wyżarte upałem gardło dławi ośli-zgła, gęsta flegma. Zastępują drogę stało-we hełmy. Zawyło wszystko w człowieku: wściekłość, gorycz, ból... Ktoś zastąpił dro-gę. Głuchy odgłos. Czyjaś czaszka rymnę-

ła o ziemię. Alojz pędzi dalej, oślepiiony, napół pijany. Na chwiejących się nogach dopada do bawarskiego oficera. Nieludzki, mrozący krew w żyłach skowyt. Oficer po chwili kopie ziemię w przedśmiertnym skurczu.

Po pysku Alojza ścieka posoka. W zgrabiałych rękach trzyma ociekający krwią karabin. Żadziara łeb, śmieje się i wyje przeraźliwie:

— Niech żyje Polska! Niech żyje!...

Front niemiecki zwinął się i zaczął pierzchać ku widniejącej Lichyni. Niemcy zmiatają, aż się kurzy. A Alojzowe wojsko za nimi. Parę skoków i już są we wsi. Nie widać wroga. Alojz gapi się napół przutomnie, bełkoce niezrozumiałe słowa. Ma radość w sercu, światłość w oczach. Jest w Lichyni!

I nagle z piersi powstańców wybucha krzyk. Krzyk gromowy, pełen dumy rozpierającej piersi, krzyk zwycięski! Łzy płyną ciurkiem po policzkach. Obłąkani szczęściem stoją oto, powstańcy Niemczyka, sponiewierana, śmiejąca się i łkająca banda niedobitków, w Lichyni. A na czele, umazany krwią jak rzeźnik, stoi Alojz. Śmieje się przez łzy, rozdziawia gębę i krzyczy:

— Toć to nie jest takie srogie, praa, chłopcy?!

I śmiech bucha, ogromny śmiech. Śmiech z płaczem...

Teraz odpocząć. Leżą na ziemi i jeszcze trzęsą się od śmiechu. Alojz przypomina sobie nieszczęsną koszulę.

— No, chłopcy! Kiery pójdzie ze mną do tej baby, kaj kupilech koszula?

— Ale kaj tam, koszula... — odezwał się serdeczny koleks¹⁾ Alojza. — Kto ci ją bydzie pamiętoł, kiej zdobyłeś Lichynię?

— Ja, ale jo chca, żebyście na własne uszy słyszeli i później poświadczyli, żech ją kupił.

— No, kiej chcesz, to idymy wszyscy!

Poszli, a na czele ich Alojz. Z trudem odszukana kobieta poświadczyła drżącym od strachu głosem, że Alojz kupił od niej koszulę i sprawiedliwie, przy świadkach zapłacił. Zadowolony, mamrotał przez zęby:

— Ale Smykałowi nie daruja. Niech tylko przyjdzie z lazaretu...

— Dej mu pokój — uspokajali go kole-dzy. — Przeca skiż twojej koszuli zdoby-łeś Lichynię i teraz dostaniesz krzyż.

¹⁾ Kolega.

W rok później na rynku katowickim Naczelný Wódz udekorował Alojza „krzyżem walecznych”. Wśród widzów znajdował się Smykała ze swoją siostrą, która od kilku miesięcy była narzeczoną Alojza. Poznali się w czasie pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Boskiej w Piekarach, którą Alojz ślubował odprawić za wyniesienie Smykały z pod gradu kul.

* * *

Działo się to w powstaniu.

Byliśmy w rezerwie i całe dnie spędzaliśmy na liczeniu kuflí piwa, gwíazd i pocałunków. Miałem ci serdecznego kamrata. Gustlik mu było na imię. Lump¹⁾ z niego był, jok się patrzy, a na baby taki pies, że z którą chociażby dwa słowa zagadał, gotowa była za nim w piekło polecieć. Ale do czasu dzban wodę nosi.

Spotkało też mego Gustlika to, co najgorsze, zaraz bowiem po powstaniu musiał się borok ożenić i może z pasją oraz ze łzami w oczach czytać będzie niniejsze wspomnienie.

Ale wracając do rzeczy, w czasie tego odpoczynku poszliśmy do dowódcy ba-

¹⁾ Łobuz.

taljonu z prośbą o przepustkę. Ten wysłuchał nas i rozpoczął pogawędkę, nie zważając, że nam się śpieszy.

— Czy wy, pierony, mnie nie znocie? — zapytał.

— Czamu to nie. Znomy!

— No, to kiej mie znocie, to musicie wiedzieć, co jo przepustki nikomu nie dowom.

Zadrżały w nas serca i gardła, miłości spragnione i gorzałki. Gustlik zaczął tonem niewiniątka:

— Rzeczywiście, o tem nie słyszeliśmy, panie dowódco.

— Ba, moi złoci — zauważył burczymucha — jest wiele rzeczy na świecie, o których jeszcze nie słyszeliście. Ha, ha, ha, ha — uderzył w śmiech rozgłośny.

— Pan dowódca cieszą się — mówił z goryczą Gustlik — no, niech się cieszą, na zdrowie! Czamu się nie cieszyć? Śmiec się dycki można...

— A cóż wy chcecie, pierony, żebych się ślimtoł? — zarżał dowódca. — Ale, doczekajcie, coś wam powia. Rozumiecie?

— Chyba rozumiemy... jeno niebardzo... — zastrzegłem się.

— Poco macie rozumieć? U mnie jest tak: kiej chcesz iść w zolyty, lebo do karcz-

my, to idź bez żadnej przepustki, bylebyć tylko przyszoł na czas...

— Bóg zapłać, panie dowódco! — wrzasnęliśmy, ledwie tylko skończył i za chwilę zniknęliśmy z przed oblicza burczymuchy.

Muszę dodać, że Gustlik był kompanijnym, ja zaś adjutantem bataljonu. Zawsze z niego był elegant, chociaż i w boju stawał, jak należy.

Pieronem przyszliśmy na kwaterę i tu Gustlik rozgadał się:

— Włosy mi wstają na głowie, jak pomyśle, żeby nas nie puścić.

— Pokaż. Jeszcze nie widziałem, jak to włosy wstają.

Gustlik spojrzał z politowaniem na mą mizerną powłokę.

— Ludwik — rzekł — padom ci, żeś gapa nad gapy i rzadki okaz mamlasa.

— Wierzę ci, przyjacielu... — z poddaniem zwiesiłem głowę.

Ale nie czas było na rozmyśły. Za chwilę wyświeżeni (jedyną naszą szcztoką Gustlik wyczyścił buty i przyczesał włosy) szliśmy w stronę wsi. Oczywiście, wrodzone zdolności doprowadziły nas do gospody, gdzie już panował gwar i hałas nie do opisania. Weszliśmy niespostrzeżeni.

— Wielki Boże! — aż się zatchnął Gustlik ze zdumienia. — Widzę mego Kibla! Sierżant Kibel był szefem jego kompanji.

— Ogromne uczucia miotają jego piersią przy tej nadobnej dziewoi — dodałem, bowiem Kibel tak coś przekładał grubej jak piec karczmarce, że aż do nas dochodził jego tubalny głos.

— Kogo ta bestja zostawiła przy kompanji? — martwił się Gustlik. — Jakby się też baonowy dowiedział, Jezu, Chryste, Panie miły!

— Zamknąłby was obydwóch do paki — uzupełniłem jego domysły i ciągnąłem go do drzwi.

— Nie ciągnij mnie, Ludwik, do drzwi, — prosił tkliwie mój przyjaciel — żebym cię snąć nie potrafił. Uważasz, fajna freliczka ¹⁾ siedzi przy bufecie.

Spojrzałem i zrobiło mi się ciepło koło serca. Za ladą siedziała panienska, nie! raczej chłopiátko, z włosami jak słowiańskie pacholę, a ślepkami tak strzelała na wsze strony, że aż mrowie po grzbiecie chodziło. Oczywiście, mój przyjaciel jak kogut zaczął przestępować z nogi na nogę, otarł przytem nieznacznie buty o spodnie, po-

¹⁾ Panienska.

czem, dzwoniąc ostrogami, ruszył w stronę bufetu, a ja za nim.

Niewiele czasu minęło, a z freliczką byliśmy zapanbrat — siostra, przyczem Gustlik był tak zajęty, że nie zauważył, jak zapłacił cały rachunek, za co niech mu będzie cześć i chwała. Że od długiego stania zaboląły mnie nogi, usiadłem sobie wygodnie na beczce ze śledziami i, podczas gdy Gustlik strzepił język, oczkowałem grubą jejmość, jak się później okazało, matkę nadobnej istoty, w tej chwili rozpijającej mego przyjaciela, i właścicielkę tej całej gospody „Do biołego gąsiora”. Jakoż po małej chwili ona sama znalazła się przy mnie i rzekła słodkim głosem, ze słodszymszy jeszcze uśmiechem:

— Cóż tak siedzą sami, kiej sowa na gnieździe, he?

— Abo wicie, pani gospodyni, tak mi się ta jeich destyla ¹⁾ podoba, że ażę coś!

— Niby moja? — zagadnęła jeszcze słodziej właścicielka obfitych kształtów.

— Ano tak! I oni tyż — dodałem.

Baba zaczęła się wdzięczyć i, co chwila zerkając dużemi, czarnemi oczami do lu-

¹⁾ Karczma,



...tak mi się ta jeich destyla podoba, że ażę coś!

stra nad kredensem, poprawiała włosy na głowie.

— Bydą tak dobrzy i z jeich kamratem póda do izby.

W to mi graj! Sądziłem, że moja uroda sprawiła tak oszałamiające wrażenie. A tu i freliczka wiodła już Gustlika do przyległej izby, podczas gdy my (t. zn. ja i baba)

certowaliśmy się przy drzwiach, aż wreszcie ona ruchem swego ramienia pchnęła mnie tak delikatnie, że przeleciałem jak piłka cały pokój, zatrzymując się wreszcie na wysiedzianej kanapie.

To nie żarty! Jakże ta kobieta musi pieścić? Chyba żebra trzeszcza... Brr!

Zaczęliśmy się bawić. Oczywiście każdy na swój sposób. Tymczasem z izby gościny dochodziły jakieś podniesione głosy.

Nie zwracałem na to zbytnej uwagi, tem więcej, że mimo zjedzenia trzech porcyj knoblocha, czułem się naprawdę głodny.

— Słuchajno! — trąciłem swego towarzysza. — Coś ty o jakiejś wieczerzy mówił? — Nic nie mówię, ale moje kiszki aż ryczą.

„Słowiańskie pacholę” dosłyszawszy to, rozśmiało się rozkosznie.

— Kto o czym, to o czym, a mój kamrat zawsze o żarciu! — zauważył Gustlik.

— A bo i prawda. O czymże mam myśleć? Żołądek źle wychodzi na rozmyślniach.

— Nojświńsza Maryjeczko! — wykrzyknęło „pacholę” — mamulko, dadzą tyż ty-

mu ożyrokowi kasek knoblocha. I to jest chłop!

— Prawda! Na miły Bóg, zapomniałem, że chłop! — oświadczyłem z rozbrajającą miną. Śmiech na sali no i koniec. Właściwie to się dopiero zaczęło. Hałas w izbie gościnnej wzmógł się, więc gospodyni pośpieszyła zażegnać możliwą awanturę. W ciszy, jaka zapanowała, dobiegał do mnie szept Gustlika:

— Serce moje podaję ci, jakby na mi-sce... Nie gorsz się, Haneczko. Że oszalałem przy tobie, to i ślepemu jasne, co słoneczka jasnego nie widzi.

Jego przemowę przerwała Hania pytaniem, znamionującym niezwykle bystrość umysłu:

— A ożynisz się ze mną, Gustlik?

— Gotów jestem zaraz, choćby w tej chwili! Kiejem cię jeno obaczył, wiedziołem, że tyś już moja, jagódka, złociuska, najmilsza.

Reszta utonęła w jakimś cmokaniu. Zerknąłem boczkiem na całującą się parkę. No i czy ten złodziej nie ma szczęścia?!

— A bodajes się ożenił! — szepnąłem z pasją. Tymczasem gospodyni weszła zpowrotem i widziałem jej niesłychane zdu-

mienie, malujące się na tłustej, rumianej twarzy na widok całujących się. Wreszcie odezwała się:

— Tóż tam jakiś kocynder¹⁾ przyszoł, kiery szuko kómpanijnego.

— Rany Boskie! To pewnie ciebie, Gustlik!

Przyjaciół spojrzął na mnie koso, leniwie dźwigając się z za stołu. Kiedyśmy wychodzili po gruntownem wypłókanu się przyjaciół aże do ostatniego feniga, matka czyniła Hani wyrzuty:

— Ón ci przaje, przaje... Toż tak koždy pado. Gryfność²⁾, dziouszka, młodo, tóż skorzystoł, co mnie nie było i wycalował, wyboszkoł, aże strach. Ludzie na świecie! I tyś mu się dała tak blisko?

— Cóżbyście chcieli, mamulko — tłumaczyło się dziewczę z buzią jak malina — żeby mnie z drugiej izby całował?

— Ana! Dejse pozór, bo poskarża tatulkowi, kiej przyjdzie z powstania.

— A wyście się to z tatulkim nie boszkali, jak do wos chodzowoł?

¹⁾ Łazik.

²⁾ Przystojna jesteś.

— Eee.. — z żalem w głosie wyszeptala matka. Z niego był dycki mamlas. Ón się wagówół...

— Tóż widzicie. Kiejście nie posmakowali, to nie wiecie, jakie to fajne. Nie brońcie też swojej cerze. Nie bydziecie bronić? Praa, mamulko?

— Oboczysz, co ón tukej już nie przyjdzie — ostrzega matka.

— Przyjdzie mamulko, przyleci, drab — drab! A kiejby nie przyszoł, to jo go znalaz.

— Wpadłeś, przyjacielu — rzekłem z szyderczem współczuciem.

Weszliśmy do izby gościnnej. Spostrzegłem dokoła znajome twarze. Pośrodku siedział w rozpiętym mundurze Kibel, ożarty jak bela i śpiewał dyszkantem, podobnym do piania zarzynanego kokota:

*Mogliście mnie, mamulko, grubym kijem bijać,
Nie byłbych się nauczył gorzoleczki pijać.
Aleście mnie, mamulko, cienkim kijem bili,
Pił jo kworta za kwortom, a wyście płacili.*

*Boście wy se tyż radzi gorzolki mypili,
Mnie, naszemu synkowi, dycki ją chwołili.
Nie chwołcie mi, mamulko, gorzoleczki pijać,
Bobyh musioł po nocach z chacharami lygać" ¹⁾.*

¹⁾ Z łobuzami kłaść się w rowie.

Ale gdy nas spostrzegł, rumieniec wstydu oblał mu twarz i, próbując powstać na niepewnych nogach, jeździł krzesłem dookoła stołu.



Pośrodku siedział w rozpiętym mundurze Kibel...

— Kibel! — wrzasnął Gustlik z wściekłością.

— Rozkaz! — plątającym się językiem (wciąż próbując utrzymać równowagę) pisał sierżant.

— Skądęś się tu wziął? Czemu się czerwienisz aż po sam pepek? Czego na mnie gały wytrzeszczasz? Dziwisz się, co?

— Nic a nic nie dziwują się panu dowódcy — oświadczył z przekonaniem, uroczyście przykładając rękę do piersi Kibel.

— Gdzie się pętasz, ozyroku, tulejo, mamlasie? Musisz „po nocach z chacharami lygać”, he? Kto się został w kompanji, pytam?

Ja tymczasem siadłem do stołu i ruchem pełnym niewinności ująłem kawał schabu, leżącego na talerzu, popychając kęsy szopą piwa. Kibel wreszcie opamiętał się i rzekł:

— Ostał się tam kapral Biniek.

— A czy on se z ludźmi poradzi? Czy jesteście tego pewni?

— Co nie mom być pewny? Jo go znam i on mnie zno. Już ta musi być wszystko pięknie... On ta błozna z siebie nie zrobi!...

Wtem rozległ się sygnał trąbki alarmowej. Wszyscy otrzeźwieli w mgnieniu oka i wypadli przed karczmę, śpiesząc do miejsca postoj. Kibel, biegnąc za nami, marmotał pod nosem:

— A to trąbi! Bodajby ci w piekle trąbili! Napilem się, ożarłem! To, że se czło-

wiek ździebko gorzalinę połknie, to zarozki larmo. Dobrze to panu dowódcy godać, kiej jo sie musza cołki dzień od świtania do wieczora ujadać z chłopami. Jakże żywota odrobiną gorzółki nie rozgrzoć? Zmarniałby człek i tyle... — i jeszcze coś bąkał.

Kiedy wpadliśmy do kwatery, czekał już na nas baonowy rozindyczony i, spojrzawszy groźnem okiem, wrzasnął:

— A wy, smyki, do sta pieronów, kaj się podziewocie? Leć mi, Ludwik, jeny gibko, do czwartego baonu, niech atakują. Ej, Gustlik! Pójdiesz na patrolka... Kiej przyjdziecie, to se z wami pogodom.

Gdy znaleźliśmy się przed domem, już Kibel z kompanją gotową do odmarszu stał na placu alarmowym. Gustlik, klnąc ile wlezie, wybierał ludzi na patrol, ja zaś, wsiadłszy na koń, gnałem co sił do czwartego baonu. Kule gwizdały jękliwie mimo uszu, gdy dopadłem wreszcie do wsi. Właśnie zziajany meldowałem baonowemu Sieji o rozkazie ataku, gdy załomotały armaty niemieckie, echem łamiącym się o fale Odry zaterkotały maszynówki.

Czwarty baon rozsypał się w tyraljery i pognął ku pozycji, którą już zaczął zaj-



...Gnałem co sił do czwartego baonu.,

mować „orgesz”¹⁾). Powstańcy wydarli się z mokradeł i ruszyli jak jeden. Wpadli na Niemców z furją, z wściekłością iście piorunową, tak nagle, jakby wyrosli z ziemi,

¹⁾ Niemiecka organizacja wojskowa.

czy wypadli z zasadzki. W ciągu kilku minut napastnicy zostali odparci i wśród ciemności wieczoru zmykali jak zające. Straszny trzask granatów rozlegał się z rzeki.

Nie wiedzieć kiedy wraz z powstańcami znalazłem się zboku uciekających napastników. Zdjąwszy z pleców karabinek, zacząłem nabijać i walić. Noc już była głęboka, kiedy wracaliśmy, rozgrzani zwycięstwem, do wsi. Za nami, zrzadka, padały pociski armatnie. Jeden z nich rozerwał się tuż obok nas. Za chwilę drugi, trzeci... Wyrwana ziemia, lecąc w wybuchu powietrza, trzepnęła mnie w plecy i rzuciła w kurz białej szosy. Straciłem na chwilę władzę w ciele. Podjęli mnie i prowadzili ostrożnie oraz pieczołowicie. Pociągami pancernym odwieziono mnie do szpitala.

* * *

Po tygodniu wróciłem do oddziału. W ciągu tego czasu nieraz z nim było krucha. Koledzy przyjęli mnie ogromnem pijanstwem. Posypały się setki pytań, opowieści i odpowiedzi. Gustlika nie było. Zapytałem, co to znaczy.

— A pieron go wie. Po służbie przepada, a jak go zagadniesz, łyska na ciebie

ślepiami jak wilk — rzekł dowódca maszynówek.

— Może się kocha?

— On! Nieszczęsna dola wybranki jego serca. Toć Gustlika lada dzień djabeł porwie i tylko kałuża smoły po nim zostanie. Jego zdrowie!

Wstał cały półpijany stół. Powiodłem po kolegach wzruszonem okiem.

— Do djabła z babami! Ba, gdzie on nie może, to babę pośle. — Zaświtała mi myśl, że ta cała sprawa mocno pachnie Hanią. Niema jak z kamratami, za których gotówbyś umrzeć i dałbyś się w sztuki porąbać!

— Skoro pijemy zdrowie Gustlika — zaczął mocno już wlany jeden z kolegów — to pozwólcie wypić i zdrowie tej wybranki, bo to musi być pieron nie baba, kiej tak osiodłała tego włóczykija.

— Racja, mosz recht, Zeflik! Pijmy — zawtórowano mu.

Po tym toaście wrzawa powstała tak wielka, że, zdawało się, rozsadzi ściany karczmy. Podchmielony udałem się na kwaterę. Poomacku dobrnąłem do posłania, za chwilę chrapiąc jak najęty.

O jakiejś porze zbudziła mnie rozmowa przed domem:



...zbudziła mnie rozmowa przed domem...

— Jakżeś ty to zrobiła? Mieliśmy się jutro widzieć, już mam przepustkę, a tu dziś taka niespodzianka...

— A mój złociutki Gustliczku! Nie mogłam se miejsca znaleźć! Tóż kiej mi mamulka kozali wyjść za karczmorza z miasta...

..... Ona! Na Boga, Hania! — pomyślałem. — Jeśli to prawda, to upiję się po-

wtórnie z radości jak bela. Słuchałem dalej.

— Puść mnie, nie boszkuj tak długo. Jeszcze kto zobaczy.

— Nikt nie zobaczy. Tego boroka, Ludwika, zabrali do szpitala. Poharatali go okrutnie Niemcy... Sam mieszkam...

(Ani przypuszczasz, bratku, jaka cię czeka druga niespodzianka).

— Już mi wszystko jedno — ciągnął dalej Gustlik. — Przez tych kilka dni, którym bez ciebie spędziłem, żyłem, jak nieprzytomny. Wszystko we mgle się kręciło. Baonowy tylko głową kiwał... Jakie to szczęście, że niema mego kamrata! Chociaż onby nam nie przeszkadzał...

— Poczekaj — szepnąłem z pasją. — Cóż to ja jestem starzec zgrzybiały? Poczekaj...

— Popatrz — gadał ten zdrajca dalej — księżyc wyszedł z poza chmur. Jak ślicznie cię oświecił, Haneczko moja! Masz twarzyczkę, jak królowa Jadwiga na obrazku. Szczęśliwy jestem, ogromnie szczęśliwy, że cię widzę... (Gębę ma, jakby się pod Piekarami rodził. Łże szelma, jak najęty. Boże! I ty na to patrzysz?)

— Ale co będzie, jak mnie zobaczą powstańcy? — zagadnęła Hania. — A jo do domu bez ciebie nie pójda.

— Hm, co będzie? — zamyślił się Gustlik i nagle, uderzywszy się dłonią w czoło, zawołał:

— Mam pomysł! Nasz wspólny ordynans, Hanysek, został przy kamracie. (Nie wie bestja wcale, że on tu chrapie, jak suś). Więc ty, Haniu, przebierzesz się w mundur i zostaniesz przy mnie jako Hanysek, powstaniec.

Nie mogłem wytrzymać i, zanurzywszy głowę w poduszkę, ze śmiechem parsknąłem w nią. Gustlik widocznie coś posłyszał, bo zaniepokojony wszedł do izby. Na mój widok stanął zdumiony.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wrzasnął. — A ty skądżeś się tu wziął?

Kręcił się jak fryga, mocno zaniepokojony.

— Cóż tak podrzucasz kuprem, jak cielę urwane z powroza? — z niewinną miną zapytałem. — Tak że to witasz przyjaciela? Pewnieś się znów zakochał, że przestępujesz z nogi na nogę?

— Powinieneś chodzić po odpustach, Ludwik, i zbierać ciężkie pieniądze za prorokowanie.

— Iii... Nie trudno prorokować, widząc twą minę. Cóż tak patrzysz?

— Patrzę i tyle...

— Nie radzę zbyt długo. Tyłem się odwróc i rób swoje.

— Ludwik! — z tłumioną pasją syknął Gustlik — żebym ja ci kości nie nadwerężył.

— Nie nadwerężył ich niemiecki granat, to i ty nie poradzisz.

Wreszcie, miast kręcić, zapytał otwarcie:

— Widziałeś?

— Uhum! — chrząknąłem ni tak, ni owak. — Czasem niedowidzę...

— No i cóż ty na to?

— Ja co na to? Nie za nas się zaczęło i nie za nas skończy. Widzisz, — mówiłem mu — powiem ci to, co Zagłoba powiedział panu Wołodyjowskiemu: „Powinieneś się kurkiem urodzić, grzebać śmiecie i wodzić kokoszki za sobą”. — To mówiąc, wstałem z łóżka.

— Włóż mundur, nędzniku! — krzyknął Gustlik. — Nie łaż w tej czystej koszuli, inaczej zmiażdżę cię poprostu.

— Ja cię zmiażdżę — burknąłem — gdy cisnę w ciebie jakimś ciężkim przedmiotem.

Mój Gustlik w prośby i zwierzenia. Że nie wydoła teraz bez niej żyć, że jeśli jestem dobrym kamratem, to przeprowadzę się gdzie indziej i t. d.

Weszła Hania. Jako uprzejmy gospodarz, powitałem ją:

— Upadam do nóg pana Hanyska. Pewny już byłem, że... Jakże cenne zdrowie? Cieszę się mocno i służby moje pokorne polecam...

Gustlik cisnął mi mundur, którym przyokryłem swoje kształty i dodał:

— Jakto! Nie poznałeś panny Haneczki?

— Rzeczywiście -- tłumaczyłem się.

— Mam, uważasz, krótką pamięć...

— Nic dziwnego. Jeżeli kto pijany...

— Człowiek pijany nigdy nie jest trzeźwy, więc nie może nikomu mówić, że jest pijany.

Ta pogwarka trwałaby nie wiedzieć do kąd, gdybym się wkońcu nie ulitował nad nimi.

— Jestem poruszony waszym widokiem do głębi żołądka, ale mi wątroba chodzi samopas, kiwa się z senności. Idę spać.

Wyszedłem zły, jak sto djabłów. To on, pieroński lump i chachar, będzie miał swoją wygodę, a ja się muszę oblizywać! Do tego jeszcze nie mam gdzie spać! Poszedłem do karczmy, gdzie się spałem, jak nieboskie stworzenie i już o dużym dniu wróciłem na kwaterę.

W dowództwie spotkałem sierżanta Kibla, który mnie powiadomił o najświeższym zdarzeniu.

— Baonowy zły, że aże coś — mówił — a to skiz tego, co przyszła do niego jego babka, co mo destyla sam wele miasta. Przyszła z hałasem, bo jej cera, co się miała wydawać, uciekła z domu.

W głowie mi się rozjaśniło. Aha! Tędy go wiedli, lumpa. No, ale że Gustlikowi będzie ciepło, to będzie. Do czego to baby doprowadzą!...

W kancelarji czekał już kurjer z dowództwa grupy. Odebrałem od niego rozkazy, wsadziłem do kabzy i poleciałem szukać Gustlika. Czekaj, ja cię urządzę!

Przechodząc koło placu alarmowego, ujrzałem go. Boże Wszechmogący!... Stał przed świetnem gronem sędziów, złożonem z baonowego i jego baby — jak mur i pa-trzał ponuro w ziemię.

— Ludwik! — krzyknął baonowy. — Są rozkazy?

— Rozkaz, panie dowódco! Są.

— Czego się drzesz jak położnica? Leć mi w tej chwili i przyprowadź — tu dodał z ironją — powstańca te... jak mu to... Hanyska...

— Doczkej! — zatrzymał mnie. — Powiedz mi, pieronie, czy i ty myślisz, że coś świat kręci się koło babskiej spódnicy?

— Hale ta, bajdura — wmieszała się żona dowódcy i poznała mnie widocznie, bo przymilnym uśmiechem ozdobiła swą twarz.

— Bydą tak dobrzy i przyprowadzą tu dzioucha.

Pobiegłem pędem, ale Kibel prowadził już nieszczęsnego ordynansa.

— O mój Jezusiczku! Dyć to tatulek! — I hop! baonowemu na szyję. Skoro się burczymucha wyswobodził z objęć Hani, zaczął prawić pater-noster Gustlikowi, przy czem i córce też się dostało.

— Zarozkich wiedziol, jakby mi kto karbitka¹⁾ w łebie zapolił, kiej tylko Gustlik przyszoł z przepustki, że wdeptoł chłop w spódnica. Ale niech mnie „orge-

¹⁾ Lampa górnicza.

sze” na zrazy posiekają, elim się spodzie-
woł, że to twoje kiecki, Anda.

— Tatulku, nie brońcie mi Gustlika —
prosiła Hania. A ten chachar stał niby kij
w kącie. (Widzisz, dobrze ci tak!)

— Cóż ty, Ludwik, na to padosz? — za-
pytał baonowy.

Spojrzałem triumfalnie na Gustlika,
oświadczać:

— Zrobić ślub, panie dowódco, bo we-
sele już se zrobili na pewno.

— A toś dogodził Gustlikowi, niech cię
antychryst ma w swojej opiece. No ja-
kóż? — wyczekująco spojrzał na żonę.

— Samušką prowadę powiedzieli óni —
wskazała na mnie.

— Tóż przeca terozki powstanie... —
martwił się baonowy.

— A cóż to w powstaniu nima farno-
rzów? — Weź se ją, jak ci przaje — zakoń-
czyła matka...

No i co powiecie, dowódca akurat miał
w ręce rozkaz Głównej Kwatery, donoszą-
cy o zakończeniu powstania.

W parę tygodni później odbyło się hucz-
ne weselisko, na którym i ja byłem, copraw-
da nie wino, lecz gorzałkę piłem, a com
wiedział, tom wszystko wam opowiedział.





BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

I	<i>Składkowski S.</i> Pogadanki o zdrowiu żołnierza	0.90
II	<i>Porroit M.</i> Tajemnica musztry	0.90
III	<i>Wysokiński A. por.</i> Bajki i prawdy o karabinie	0.90
IV	<i>Umiastowski R.</i> Morze jako źródło bogactwa narodu	0.70
V	<i>Socha.</i> Dlaczego świętujemy dzień imienin marsz. Piłsudskiego	0.90
VI	<i>Ślósarczyk A.</i> Piechur a czołgi	1.00
VII	<i>Klecze K.</i> Okopywanie się	1.50
VIII	<i>Bogusławski A.</i> Na biwaku	1.20
IX	Święto żołnierza. Dzień 6 sierpnia	0.80
X	<i>Falkiewicz S.</i> Chorągiew	1.60
XI	<i>Artur Oppman (Or-Ot).</i> Śpiewy historyczne . .	1.00
XII	<i>Kowalewski Z.</i> Zwycięzcy	1.00
XIII	<i>Belcikowska A.</i> Powstanie listopadowe . . .	2.80
XIV	" " Powstanie styczniowe	2.80
XV	" " Powstanie kościuszkowskie	2.20
XVI	<i>Biesiekierski K.</i> kpt. inż. Maskowanie	0.70
XVII	<i>Kamiński J.</i> Artylerja i jej właściwości . . .	1.00
XVIII	<i>K. Banach i Z. Szymański.</i> Przygody wojenne Pietrka Chytrosia	2.00
XIX	<i>K. Jotemski.</i> Stracona placówka	1.60
XX	<i>M. Bołyho.</i> Bronie i służby	1.00
XXI	<i>K. Banach i Z. Szymański.</i> Pietrka Chytrosia dalsze dzieje i z kolegami pogwarki	1.90

DO NABYCIA

w GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 69.

